

CZY JEDEN LIST MOŻE POŁĄCZYĆ SAMOTNE SERCA?



Świąteczny
list

EMILY STONE



EMILY STONE

Świąteczny
list

Przełożyła
Edyta Świerczyńska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Christmas Letter

Wydawczyni i redaktorka prowadząca: Olga Gorczyca-Popławska
Redakcja: Olek Zawisza
Korekta: Anna Żukowska
Projekt okładki i wyklejki: Adelina Sandecka
Ilustracje na okładce: Adelina Sandecka
Grafika na wyklejce: © Elena / Stock.Adobe.com
Grafika na stronach rozdziałowych: © mitay20, © Tartila / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2023 Emily Stone

First published in 2023 by HEADLINE REVIEW
An imprint of HEADLINE PUBLISHING GROUP

All rights reserved.

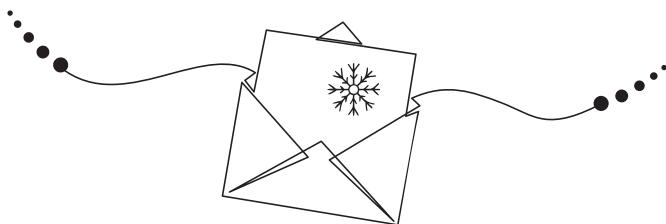
Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.
Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2025
ISBN 978-83-8417-249-0

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





ROZDZIAŁ PIERWSZY

Walcząc dzielnie z opadającymi powiekami, Holly trzymała się kurczowo krętej szosy przecinającej północny Devon. Na siedzeniu pasażera Lily drzemała słodko z głową opartą o szybę, choć miała tylko jedno zadanie: nie dać siostrze przysnąć za kółkiem. Trasa Londyn – Straszne Zadupie, gdzie rodzice postanowili wynająć domek na święta, to zdecydowanie nie był spacerek i Holly jechała już na – nomen omen – oparach. Choć dzień był wyjątkowo rześki, w ich małej rodzinnej fiście można się było ugotować przy wtórze usypiających bożonarodzeniowych kawałków puszcanych w kółko w radiu. No i jak długo można umilać sobie podróż zgadywankami? A na każdym zakręcie, które wyrastały przed nimi jak grzyby po deszczu, ściągać nogę z gazu?

Holly marzyła o kawie, ale ostatnią stację benzynową minęły wiele mil temu. Choć trzeba przyznać, że okolica była malownicza. Po obu stronach szosę okalały ogołocone z liści żywopłoty, za którymi pod szarawym grudniowym niebem rozciągały się bezkresne pola. Nic tylko owinąć się kocem z kubkiem gorącej czekolady w ręce.

Za następnym drogowskazem skręciła w prawo, budząc Lily, która zmrużyła zaspane oczy.

– Co jest?

– Potrzebuję kofeiny. Zrobimy krótki postój.

Lily zmarszczyła nos w niemym proteście. Wjechały do tętniącej życiem wioski, której mieszkańcy niczym nie różnili się od londyńczyków, wiecznie zostawiających świąteczne zakupy na ostatnią chwilę. Główna ulica była obwieszona kolorowymi lampkami, a na skwerku przed wieżą zegarową stała olbrzymia choinka.

– Big Ben w wersji mini – prychnęła pod nosem Holly.

Zauważywszy obok niepozorną kawiarenkę, wrzuciła migacz i zaparkowała na ulicy przed wejściem, za co została z miejsca obtrąbiona.

Lily ściągnęła brwi.

– Tu nie wolno parkować.

– Nie przetrwam tych ostatnich trzech kwadransów bez kofeiny – odparowała Holly.

– Sama chciałaś prowadzić – przypomniała jej Lily.

– Nie mówię, że mi się odwidziało, tylko że muszę się napić kawy. A poza tym – dodała – w twoim stanie nie możesz siadać za kółkiem. – Pogłaskała ją po niemal niedostrzegalnie zaokrąglonym brzuchu.

– Jestem w ciąży, a nie na wózku – mruknęła Lily.

– A jedno wyklucza drugie? – zapytała słodko Holly, za co dostała zartobliwego kuksańca w bok.

– Nie wyzłościwiał się. I pamiętaj, kto tu wszystko funduje.

– Oddam, gdy tylko będę miała z czego. – To równie dobrze mogła być obietnica bez pokrycia.

Karty kredytowej Holly zapomniała, bo jak zwykle zbierała się z domu na ostatnią chwilę, a nawet gdyby ją wzięła,

jej konto świeciło pustkami. Po dwóch latach przymierania głodem w charakterze artystki na dorobku z dyplomem jednej z najlepszych akademii sztuk pięknych w kraju w końcu się poddała i – ku aprobach rodziców oraz swojej rozsądnej siostry – zrobiła jakże przyziemny kurs nauczycielski. Ale dopóki nie znajdzie upragnionej posady, była zmuszona żyć na garnuszku rodziców.

– Tu nie wolno parkować – powtórzyła Lily, resztką sił powstrzymując cierpiętnicze westchnienie. – Wjechałaś na podwójną żółtą.

– Nikt nie zauważy.

– Holly... – Lily sięgnęła po surowy głos starszej siostry, ale Holly zdążyła już zgasić silnik.

– Na dwie minutki. Spójrz tylko na ten świąteczny wystrój!

Rzeczywiście: z wystawionej przed drzwiami tabliczki uśmiechał się do nich pulchny bałwanek, zachwalający bożonarodzeniowe sandwicze z camembertem i żurawiną, nad drzwiami dyndała jemiola, witryna była obwieszona srebrnymi łańcuchami, a niski, kryty strzechą dach zdobiły mrugające lampki, nadające całości uroczo rustykalny wygląd.

Może to zasługa „świątecznego” imienia, ale Boże Narodzenie zawsze było dla Holly ulubionym czasem w roku. Tym razem jednak zamiast bajecznych dekoracji jej wzrok przykuła intrygująca nazwa kafejki: Impresja, Wschód Słońca. To był ewidentny ukłon w stronę słynnego obrazu Moneta, a każda knajpka ochrzczona na cześć dzieła sztuki musiała być porządną.

Lily w końcu dała za wygraną i wysiadła. Wcisnęła ręce do kieszeni kurtki i zrównała się krokiem z siostrą, która od razu pożałowała, że zostawiła swoje okrycie w aucie. Choć dzieliły je całe cztery lata, idąc tak ramię w ramię, wyglądały niemal jak bliźniaczki. A ściślej rzecz biorąc: jak ognistorude

bliźniaczki. Jedyna różnica polegała na tym, że podczas gdy Lily utrzymywała swoją fryzurę w ryzach za pomocą wszelkiej maści zabiegów i kosmetyków pielęgnacyjnych, burza włosów Holly wiecznie żyła własnym życiem, w ostateczności kończąc jako niedbały koczek na czubku głowy właścicielki. „Daj mi żyć – rzuciła, gdy Lily przed wyjściem wcisnęła jej szczotkę do jednej ręki i prostownicę do drugiej. – Jestem jak Arielka z *Małej syrenki*”.

„Nie każdy rudzielec może być Arielką – odparła z westchnieniem Lily, najpewniej wspominając ciągłe porównania do disneyowskiej bohaterki, którymi dręczono je w dzieciństwie. – A poza tym Arielka się czesze. Ciągłe. Widelcem i co tam jej jeszcze wpadnie w ręce”.

„Cóż, jak słusznie zauważyłaś, nie każdy rudzielec może być Arielką”.

Ale na włosach bliźniacze podobieństwa się nie kończyły. Siostry miały takie same kości policzkowe, identyczny spiczasty podbródek, tak samo zaokrąglone brwi (nawet bez starannego wyskubywania, któremu regularnie poddawała je Lily). Tylko oczy miały inne: Lily – stonowane brązowe, Holly – intensywnie zielone.

Zapatrzona w niesamowity obraz wiszący tuż za przeszklonymi drzwiami, Holly pchnęła je z całej siły. Nie sądziła, że las deszczowy da się zamknąć w ramy tak śmiałej, pełnej życia abstrakcji. „Musi być mój” – brzmiała jej pierwsza myśl. Powiesi go sobie nad łóżkiem, by co rano budził ją zastrzyk jego niesamowitej energii. „Miałam rację” – pogratulowała sobie w duchu. Kafajka była godna swej szaczonej nazwy i...

Te głębokie rozważania przerwał nagle głuchy łoskot drzwi odbijających się od czyjejs niepokojąco twardej klaty. Przed oczami mignął jej skrawek wykrochmalonej śnieżnobiałej

koszuli, w powietrzu zapachniało lasem (takim z krwi i kości) i krzyknęła, gwałtownie cofając rękę. Za późno.

– Chryste! – mruknął niski głos, a Holly przeklęła pod nosem, gdy o podłogę uderzyło coś ciężkiego w komplecie z dwoma kubkami kawy na wynos.

Instynktownie odskoczyła od nieznanego, ale pośli-znęła się na mokrych drewnianych klepkach i zamachała bezradnie rękami, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem. Odgarnąwszy gniewnym ruchem włosy, podniosła oczy i niechcący wlepiła wzrok w jego twarz. O Boże. Jakby ją Michał Anioł dłutem haratał, cytując klasyka. Sama miała ochotę pobiec po kawałek gliny, by uchwycić te idealne rysy, wydatną męską szczękę, ciemne oczy i minimalnie przekrzywiony nos, który tylko dodawał uroku całości.

Po chwili jednak przyszło otrzeźwienie i krew zawrzała jej w żyłach.

– Co, do ciężkiej...?! – warknęła, ściągając na siebie ukradkowe spojrzenia przypadkowych gości i kobiety za ladą, która zerknęła na nią zza metalowego dzbanka do spieniania mleka. – Mogłeś mnie poparzyć! – Jedyńm, co stanęło pomiędzy wrzątkiem a jej gołą skórą, był czarny bożonarodzeniowy sweterek z cekinowym napisem „Świętowanie czas zacząć!”.

– Chyba żartujesz! – zawołał z niedowierzaniem nieznanomy. – To ty na mnie wpadłaś! Następnym razem patrz pod nogi! – Jego rzeźbiona twarz stężała, gdy wciągnął powietrze i omiół wzrokiem bajzel na podłodze.

Obie kawy, biała i czarna, były nie do odratowania. Obok leżała jego aktówka z odpiętym zatrzaskiem. Zaraz, zaraz... aktówka?! Kto przy zdrowych zmysłach chodzi w Wigilię z aktówką pod pachą?! I w garniturze, na dodatek świetnie skrojonym?!

Holly ściągnęła brwi i otworzyła usta, żeby wygarnąć temu facetowi, gdy nagle poczuła dotyk drobnej dłoni na ramieniu. Mimowolnie się odwróciła i napotkała wymowne spojrzenie siostry, które znała aż za dobrze.

Zacisnęła zęby, próbując ochłonać. Lily miała rację.

– Przepraszam – wybąkała, naburmuszona. – Nie patrzyłam pod nogi – dorzuciła z automatu.

– Najwyraźniej – mruknął.

Zrobiła się czerwona jak burak i na końcu języka już miała „Przecież przeprosiłam!”, ale wciąż czuła na sobie surowy siostrzany wzrok. Zamiast tego podniosła głowę – i to był jej błąd, bo z miejsca zatonęła w jego nieprzeniknionych czarnych jak heban oczach, tak niepodobnych do jej przejrzystych zielonych, które za każdym razem bezczelnie zdradzały emocje targające ich właścicielką.

Miał zaciśniętą szczękę, jakby on też gryzł się w język. I gdy uniósł rękę, przeczesując gęstą, ciemną czuprynę, która odcinała się efektownie od nieskazitelnej alabastrowej skóry, dostrzegła malowniczą plamę kawy na jego śnieżnobiałej koszuli. Ups.

Zmarszczyła nos.

– Jeszcze raz przepraszam. Zapatrzyłam się na coś. – Machnęła ręką w stronę obrazu, a wyraz jego twarzy momentalnie złagodniał.

– Ja też go lubię. Kojarzy mi się z... życiem. – Skrzywił się, jakby powiedział coś głupiego, i otworzył usta, by się poprawić, ale Holly była szybsza.

– Właśnie, dosłownie nim tryska. – Wzruszyła bezradnie ramionami, wciąż czując na plecach palące spojrzenie Lily. – Nie mogłam oderwać od niego oczu i... – Objęła gestem kawową abstrakcję na podłodze.

– Są na sprzedaż, tak na marginesie. Te obrazki. – On z kolei objął gestem wewnątrz kafejki i dopiero teraz zauważyła, że ściany są nimi obwieszane.

Z pustymi kieszeniami mogła o nich tylko pomarzyć, ale trzeba przyznać, że ta krzyżówka kawiarni z galerią sztuki robiła wrażenie.

Z boku dobiegło wymowne chrząknięcie Lily.

– To może pójde po tę kawę.

– Nie – zaprotestowała Holly. – Usiądź sobie, ja pójde.

Lily zmarszczyła nos.

– Mówiłam, nie jestem...

– Siadaj – powtórzyła z mocą Holly i Lily przycupnęła z westchnieniem przy jednym z niewielu wolnych stolików.

Na każdym stała miniaturowa choineczka z drewnianą gwiazdką na czubku. Urocz.

– A tak dokładnie to kim lub czym ona „nie jest”? – dopytywał nieznajomy.

– Kaleką.

– Aha. Cóż, dobrze wiedzieć. Chyba.

– Słuchaj – zaczęła Holly, przekrzykując pierwsze dźwięki *Last Christmas*. – Odkupię ci tę kawę. – Rzuciła okiem na bajzel na podłodze. – A raczej dwie. Co do koszuli... – Zmarszczyła nos. – To chyba pierwsza i ostatnia chwila, gdy żałuję, że nie jestem jedną z tych lasek, które noszą w torebce jakiś cudowny odplamiacz właśnie na takie okazje. Mówię to z bólem serca, ale na moje oko nic z niej już nie będzie. – Skrzywiła się ze skruchą. – Wybacz.

Parsknął perlстым śmiechem sięgającym jego nieprzeniknionych oczu, które aż pojaśniały.

– Nic się nie stało, w aucie mam zapasową.

– Wozisz ze sobą zapasową koszulę?

– Całkiem słusznie, jak się okazuje, prawda?

Nie mieściło jej się w głowie, że można spakować coś zapasowego na przysłowiowy wszelki wypadek – to wymagało poziomu organizacji, do którego nie śmiała aspirować. Nie była nawet pewna, czy wzięła na ten świąteczny wypadek wystarczającą ilość czystej bielizny, bo jak zwykle wrzucała do walizki co popadnie, wołając do czekającej na dole Lily, że już biegnie.

Ciekawe, co to za ważna okazja wymagająca zapasowej koszuli – ślub i wesele? J e g o własne? Nie, na pewno nie – gdyby tak było, już dawno odjechałby z piskiem opon do kościoła, zamiast przestępować z nogi na nogę w drzwiach wiejskiej kafejki.

Z drugiej strony zamówił d w i e kawy. Może szedł na randkę? To nie twoja sprawa, zbeształa się w duchu. Nie wiesz nawet jak ma na imię, na miłość boską. Skąd ci się nagle wzięły te rozkminki?!

Podniósł aktówkę i podeszli razem do lady, za którą stała zaskakująco spokojna i miła kobitka, zachowująca się, jakby wszystko po niej spływało. Czy tak właśnie wygląda życie na wsi? Żaden londyński barista nie posyła tak ciepłych uśmiechów.

– Co podać? – Odgarnęła za ucho złocisty kosmyk boba, prezentując błyszczący kolczyk.

– Eee... – Holly zerknęła na nieznanomego.

– Czarne americano i latte na owsianym poproszę.

Kobieta przeniosła wyczekujące spojrzenie na Holly.

– I... hmm... – Rzuciła okiem na tablicę nad swoją głową. – Cynamonowe latte i herbatę miętową. – Nie żeby była amatorką tej drugiej, ale ostatnimi czasy Lily piła ją hektolitrami, dla dobra dziecka wyrzekając się nawet bezkofeinowej kawy.

Zerknęła ukradkiem na nieznanego. Jej imponujący metr siedemdziesiąt siedem przy jego wzroście to było małe miki. Nie wspominając o szerokich barach i rzeźbionej kładce pod idealnie skrojoną marynarką. A pewność siebie aż od niego biła.

– Może chociaż... eee... w ramach przeprosin postawię ci ciacho?

– Nie trzeba.

– Trzeba.

– Niech będzie... – Przebiegł spojrzeniem po ofercie ciast za szybko. – Ta czekoladowo-cynamonowa gwiazda wygląda apetycznie.

Fakt; no i idealnie wpisywała się w świąteczny klimat. Gdyby nie została tylko jedna sztuka, sama by się skusiła. Parsknął cichym śmiechem, jakby czytał jej w myślach.

– Też masz na nią chrapkę, co?

Chyba musiała wpatrywać się w nią jak sroka w gnat, bo aż ślinka napłynęła jej do ust. „Ładnie, Holly. Pięknie”.

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko. – Jest cała twoja. – Wzięła jeszcze cytrynowy torcik dla Lily, która miała właśnie fazę na cytrusy.

– Razem szesnaście osiemdziesiąt – podliczyła z uśmiechem baristka.

Dopiero obmacując się bezradnie po kieszeniach dzin-sów, Holly uzmysłowiła sobie całą grozę sytuacji.

– O Boże... chyba zostawiłam kartę w domu... Wszystko przez ten pośpiech... Zaczekaj chwilkę, wezmę kasę od siostry.

Odwróciła się na pięcie, czując, jak oblewa się czerwienią – n i e z b y t twarzowy kolor, zwłaszcza dla rudzielca – ale złapał ją za rękę i muśnięcie jego ciepłych palców sprawiło, że serce zabiło jej szybciej.

„Weź się w garść, Holly”.

– Nie trzeba, ja zapłacę – upierał się, szukając jej wzroku.

– Ale ja...

Zanim zdążyła dokończyć, podał baristce swoją kartę, a ona poczuła, jak paląca jej policzki czerwień nabiera szkarłatnej głębi.

– Przepraszam – niemal jęknęła. – Zostawiłam kartę w domu; musiałam pożyczyć od siostry kasę na paliwo i...

– Nie ma o czym mówić, naprawdę.

Na szczęście w tej samej chwili baristka postawiła ich zamówienie na drugim końcu lady, oszczędzając jej dalszych upokorzeń przy kasie. Nieznajomy zajrzał do jednej z papierowych torebek i wyjął z niej czekoladową gwiazdę.

– Z bliska też wygląda apetycznie, co nie? I jeszcze lepiej pachnie.

Ewidentnie się z nią droczył, ale postanowiła być ponad to. W końcu przed chwilą de facto postawił jej kawę.

Uśmiechając się z lekka, przełamał gwiazdę na pół, po czym podał jej jedną część.

Wlepiała w nią wzrok.

– Nie mogę...

– Ależ możesz. Pomyśl, że ratujesz mnie przed nadmiarem cukru i kofeiny. – Uniósł kubki.

– Obie są dla ciebie? – Nie wiedzieć czemu odetchnęła z ulgą.

„Weź się w garść, Holly!”.

– Obawiam się, że tak. Potrzebuję dziś kopa od americano i chwili rozkoszy z latte.

– Wow. Dużo tej kawy.

– Zgadza się. W zupełności wyczerpuje mój dzienny limit używek.

Prychnęła pod nosem, powątpiewając, by cokolwiek było w stanie ruszyć tego twardziela, ale poczęstunek przyjęła.

– Dziękuję.

Kolejka przesunęła się w ich stronę, więc odeszła na bok, po drodze zahaczając o jego aktówkę. Drugi zatrząsk się odpiął i ze środka wypadł plik papierów.

Jęknęła w duchu. W klasyfikacji niezdar była ona, a potem długo, długo nikt.

– Przepraszam – wybąkała, schylając się, by pomóc je pozbierać.

Parsknął ciepłym, ciut zaraźliwym śmiechem.

– Zaczynam widzieć pewną prawidłowość...

Oddała mu długopis, który potoczył się po podłodze, i jej wzrok przykuła malowana pocztówka zerkająca spomiędzy papierzysek. Podniosła ją, zauroczona feerią barw układających się w osobliwie melancholijne morskie fale. Jeszcze nigdy nie widziała takiej kreski. Głębią kolorów i kształtów przypominały tamten las deszczowy spod drzwi.

– Jakie piękne – zachwyciła się. – Ręcznie malowane? Oryginał? Twojego autorstwa? – Znow parsknął śmiechem, a ona potrząsnęła głową. – Za dużo pytań, wybacz.

– Tak, tak i nie – odparł, odliczając je na palcach. – Do stałem ją dawno temu... – dodał po chwili – ...od miejscowej artystki. Tak się składa, że wisi tu parę jej prac. – Objął gestem wnętrze kafejki.

– Jak się nazywa? Ta malarka?

– Mirabelle Landor.

– Mirabelle Landor – powtórzyła, próbując zapamiętać. Nieznajomy przekrzywił głowę.

– Miłośniczka sztuki?

Odpowiedziało mu wymijające wzruszenie ramion. Dopóki nie spieniży choć jednej pracy, w swoim mniemaniu nie zasługiwała na miano artystki z krwi i kości, cokolwiek to znaczyło. Lily co prawda niezmiennie wspierała ją w tym pościgu za marzeniami, ale teraz, gdy Holly rzuciła pędzle i sztalugi dla niezbyt oszałamiającej kariery nauczycielskiej, to był już zamknięty rozdział. „Nie – upomniała się surowo w duchu. – Nie wolno tak myśleć”. Bo kto wie, co przyniesie nowy rok?

Wlepiła wzrok w pocztówkę, wędrując palcami wzdłuż malowanych fal. Gdy podniosła głowę, na jego ustach tańczył lekki uśmiech, a te czarne, nieprzeniknione oczy znów rozjaśnił tajemniczy błysk.

– Przepraszam – rzuciła szybko i oddała mu kartkę.

– Nie ma za co – zapewnił i po chwili wahania sięgnął do aktówki, wyjmując drugą kartkę w tym samym stylu, przedstawiającą zielono-żłocisty las. – Proszę. – Wcisnął ją dziewczynie do ręki. – Tej samej artystki. Tamtej nie mogę ci подарować, bo... Po prostu nie mogę.

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć, naprawdę! – jęknęła z zażenowaniem, czując, jak z n ó w oblewa się rumieńcem. Znikąd litości! – A ja nie mogę jej przyjąć. Nie chciałam... to znaczy... nie p r o s i ł a m...

– Wiem – przerwał jej idealnie opanowanym głosem. Opanowanym i b o s k i m. Czy głos może być boski? Stwierdziła, że jeśli ma w sobie aksamitność gęstej gorącej czekolady, to jak najbardziej. A jego miał. – Ale tę kupiłem dla kaprysu – ciągnął – w sklepiku po drodze. Może właśnie po to... by ci ją dać...

To niepoprawny romantyzm i niektórzy mogliby to nazwać przeznaczeniem. W które Holly z całą pewnością nie wierzyła. Mimo to serce zatrzepotało jej leciutko w piersi.

Niemniej głupio było odmówić, więc przyjęła upominek.

– Dziękuję – wybąkała. – Wiesz, sama zawsze chciałam malować, więc miło wiedzieć, że nawet anonimowym lokalnym artystom się udaje i... – przerwała, by nie wyjść na jeszcze większą wariatkę.

– Tym bardziej musisz ją przyjąć – powiedział po prostu, wsuwając drugą pocztówkę do wysłużonej aktówki.

Przed oczami mignął jej grawerunek i miała ochotę spytać, od kogo ją dostał, ale tym razem powściągnęła ciekawość. Rychło w czas!

– Jestem Holly – przedstawiła się zamiast tego.


Uśmiechnął się.


– A ja Jack.




*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)